Nr. 11. We Lwowie dnia 13. marca 1898. Rok 6.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

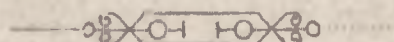
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z pobytu Władysława Żeleńskiego w Pradze.

Wspomnienie z r. 1860—1,

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.





Gdy człowiek zbliża się do kresu wędrówki życiowej, widzi przed sobą otwarty grób własny, ciemny, odosobniony, pełen tajemnic. Co za nim? oto pytanie, na które i religja i nauka w swój sposób odpowiadają; a przecież, bliżej się rozpatrzywszy, przekonujemy się, że takiego zagadnienia nie powinno się stawiać, ponieważ jest, przynajmniej na dziś, poprostu nierozwiązalne. Więc i starzec odwraca się od tego widoku i woli popatrzyć na drogę odbytą; cofa się wstecz, aż do dzieciństwa swego, odgrzebuje wspomnienia świetlane młodości, chętnie opowiada o czynach i przygodach wieku dojrzałego. Niebawem jednak spostrzega, że cała ta droga zarzucona jest kośćmi nadziei chybionych, uczuć sponiewieranych, zamiarów poronionych, pełna złudzeń, majaków i rozczarowań; obok zaś tego długiego gościńca cisną się, z początku rzadko — potem coraz gęściej, grobowce rodziców, dzieci, rodzeństwa, przyjaciół, towarzyszów, znajomych, wreszcie mężów i niewiast znakomitych, z którymi było mu danem stykać się, a których czcił i kochał. Każdy z tych nieboszczyków wyrwał mu cząstkę z jego własnego serca, jego pragnień, myśli oraz przekonań i zabrał je wszystkie ze sobą do grobu. Trudno, zaprawdę, walczyć z umarłymi! Nibyto pozostał człowiek żywy, a tymczasem to cień tylko chodzący, istny upiór, ogołocony z najlepszego, co w swej osobistości posiadał. W sercu i w myśli jego znajdują się dotkliwe braki, szczerzą się luki, których niczem nie może teraz zapełnić, a posiada znów takie uczucia, któremi z nikim już więcej podzielić się nie potrafi. Kiedy tak ani przyszłość, ani przeszłość nie daje zupełnego zaspokojenia, my osamotnione niedobitki, którzyśmy przeżyli nasze pokolenie, szukamy punktu oparcia, ukojenia w teraźniejszości: garniemy się do małej dziatwy, która też jedynie chwilą obecną żyje, całą duszą lgniemy do tych niewielu towarzyszów młodości, pozostałych jeszcze przy życiu, w nich bowiem odnajdujemy znowu uzupełnienie naszej osoby, postrzępionej i poszarpanej przez nieboszczyków. Oto psychologiczne rozwiązanie zagadki, dlaczego koleżeństwo z ław szkolnych jest najtrwalszym i najsilniejszym węzłem, łączącym ludzi pomiędzy sobą, aż do najpóźniejszej starości.

* * *

W r. 1860 wielkie ferje akademickie przepędziłem jak zwykle u mojego dobroczyńcy, hrabiego Seweryna Mielżyńskiego w Miłosławiu, miejscu pamiętnem z jedynej dla nas zwycięskiej bitwy w czasie powstania poznańskiego w 1848 r. Pan z panów, właściciel miljonowej fortuny brzydził się szczególnie przesądami kastowymi. Gdy w początkowej z nim korespondencji tytułowałem go, jak się należało, hrabią, napisał w odpowiedzi, pomiędzy innemi, te słowa: „Nie maltretuj mnie hrabią, bo tego tytułu tylko kpom używać pozwalam“. List ten zachowałem na wieczną pamiątkę, a przecież dziś gotów go jestem sprzedać na rzecz towarzystwa demokratycznego miłośnikom autografów, lecz pod jednym warunkiem, iż kupujący będzie jeden z licznych hrabiów galicyjskich, który zamieści ten list, w ramki oprawiony, obok swego dyplomu hrabiowskiego.

Seweryn Mielżyński znany był w całej niemal Polsce i szanowany powszechnie za swą wszechstronną pracę i ofiarność patrjotyczną, ceniony zwłaszcza na emigracji, której instytucje szczodrze i stale, jak np. szkołę batiniolską w Paryżu, zasilał. Ręka w rękę szła z nim zacna małżonka, z domu Wilxycka, właścicielka dóbr Ryńsk w Zachodnich Prusach. Żołnierz w r. 1830 i 48, miłośnik sztuk pięknych, zwłaszcza muzyki i malarstwa, zwolennik nauk przyrodniczych, człowiek wysoko wykształcony i wielkiego serca, skierował działalność swoją na spełnienie obowiązków obywatelskich wszędzie, gdzie dobro publiczne tego najbardziej wymagało bez względu na niesympatyczne mu nieraz osoby lub partje. Stale utrzymywał swoim kosztem kilku uczniów, to w szkołach średnich, to po wszechnicach. Był jednym ze założycieli towarzystwa pomocy naukowej imienia Dra Marcinkowskiego i do końca najczynniejszym członkiem. Wspierał hojnie rozmaitych artystów, że tylko z moich czasów wspomnę Biernackiego i Zarzyckiego, gromadził galerję obrazów, skupywał sztychy kosztowne, książki, rękopisma, które potem towarzystwu przyjaciół nauk w Poznaniu wraz z funduszem na dom podarował. Jak szczerze i mocno wierzył w odbudowanie Ojczyzny, świadczy fakt, że umierając bezdzietnie, testamentem przekazał za zgodą małżonki cały majątek przyszłemu rządowi Polski niepodległej i to na cele oświaty narodowej. Ponieważ taki zapis w obecnych stosunkach byłby pozbawiony mocy prawnej, uczynił osobnym aktem bratanka swego, Józefa, dożywotnikiem, pobierającym dochody tak z dóbr miłosławskich, jak Ryńska z wyjątkiem 5000 talarów rocznie, przeznaczonych na utrzymanie towarzystwa przyjaciół nauk; dla czuwania zaś nad wykonaniem testamentu w razie odbudowania Polski ustanowił osobno tak nazwaną wieczną radę miłosławską. Ostatnią atoli wolę stryja p. hr. Józef Mielżyński podeptał bez skrupułu nogami. Sprzedał, jakby swoją własność, najprzód Ryńsk, a przed 2 laty dobra miłosławskie. Znany ugodowiec, „admirał konnej marynarki“, p. Józef hr. Kościelski nabył je dzięki posagowi żony, córki Blocha, bankiera żydowskiego w Warszawie i miljonowemu spadkowi po stryju swym, znanym Sefer-baszy, chedyfa Ismaiła zauszniku, o którym w Kairze mówiono, że dla tego się tak nazywa, ponieważ *sait faire* (umie obrabiać) swoje interesy *). Tak więc właścicielem Miłosławia, który wielki patrjota darował Polsce, został „Prusak polskiego pochodzenia“, jak sam publicznie się nazwać nie wstydził. Co za straszna ironja losu!

(C. d. n.).



Ostatni romantyk.

(Dokończenie).



List ostatni, stanowiący niemal całą książkę, rzucony jest jako oskarżenie przeciw „apostazji kapłańskiej mnóstwu naszych pisarzy“, a głównie przeciw Wincentemu Polowi, najpierwszej wśród piszących powadze. Aby dokładniej zrozumieć donioslość tej odezwy, zaznaczyć należy, iż Ujejskiego przez długie lata wiązał przyjacielski z Polem stosunek, że miał dla niego uczucie czci synowskiej i zapalonym był wielbicielem jego „Pieśni Janusza“.

Każdy, komu znane są dokładnie utwory Pola, dojrzy różnicy między piękną pieśnią z lat jego młodości i gawędami z czasów późniejszych. Ujejskiemu, który przez całe życie nie znał co to odstępstwo, który pilnie stał na straży swych słów, aby w nich żaden dysonans się nie ozwał, sprzeniewierzenie się przyjaciela dawnym hasłom młodości, musiało ból sprawić nie mały. Prawa jednak natura jego, a bardziej jeszcze służba publiczna, nie mogły pokryć błędów najbliższego chociażby duchem — owszem, z tem większą, bo w cierpieniu czerpaną siłą uderzył na odstępcę, nie przepuszczając najmniejszej winie, najlżejszej wzmiance, mogącej czytający ogół narodu, czczący dotąd ulubionego poetę, sprowadzić jego śladami na błędne manowce.

Skreśliwszy w pierwszej części swojej odezwy piękny obraz Janusza, cierpiącego za kraj, bratającego się z ludem, wskazującego narodowi drogę ku lepszej przyszłości, postawiwszy mu tą oceną jak sam się wyraża, marmurowy posąg czci — przechodzi do oskarżenia. Jeden po drugim wywleka wszystkie rozdźwięki w późniejszych utworach poety, z nieubłaganą ścisłością sędziego śledczego i prokuratora śledzi za stopniowym zanikaniem dawnej wiary i powolnym na jej miejsce napływem nowych hołdów, nowym bogom składanych.

W końcu w kilku punktach streszcza swoje oskarżenie.

Więc naprzód czyni zarzut, iż Wincenty Pol wyrzekł się dróg Januszowych „od biednych i zapomnianych przeszedł do bogatych i górują-

*) W dziele Ch. Mismera, Souvenirs du monde musulman 1892 Paris, strona 237 czytamy, co następuje: „...brasseurs d'affaires, entremetteurs de culisses, pauvres hères, enrichis par la mendicité, formaient sous l'inspiration d'un renégat polonais, dénommé Pacha Sait-Faire, une camarilla cosmopolite, ou plutôt un syndicat d'exploitation des faveurs Khédivales.

cych“ — a nie dlatego liczy się mu to grzechem, iżby nie wolno było poecie wybierać sfery, która ducha jego najbardziej pociąga ku sobie, lub żeby w powszechnej miłości swego narodu kochać trzeba było tylko jednych braci, a drugich — nienawidzieć — lecz że Pol, zamiast wnieść w ten świat słowa nauki, oświaty, zamiast „prostować ich drogi, umacniać w wierze narodowej, karcić jeśli potrzeba“ — przejmuje się sam ich wadami, schodzi aż do pochlebstwa, oddaje im pokornie swe serce i swe służby.

Oskarża dalej Ujejski, iż rok 46 nie był przez Pola zrozumianym jak należy, iż nie ukorzył się przed karą bożą, nie uznał jako narzędzia tej kary — krwawej ręki ludu, ale „jednostronnie potępił własnych braci — i nieprzebaczył ludowi!“ W ślad zatem znikła w oskarżonym wiara w lud, więc zwrócił się do nieprzyjaciół naszej sprawy“ i wysługując się im, profanował godność swoją kapłańską. Zwątpiwszy sam w siebie, zwątpił w cały naród, „bezwzględnie potępił demokratyzm, który jest treścią nauki Chrystusowej — i nie pozwalał na żadne burzenie, sam nic nie budując“.

Dalej, rzuca mu oskarżenie, iż podnoszący się z odrętwienia naród starał się pchnąć w objęcia Moskwy; mimo znane zaborcze instynkta Rosji, chciał wierzyć, że tam znajdziemy — odrodzenie! Oskarża wreszcie, że piękną, czystą, wolną „Pieśń o ziemi naszej“ pod cenzurę podał petersburką i okaleczoną, obciętą, okradzioną z najcenniejszych blasków powtórnie narodowi podarował. Popełnił przez to świętokradztwo, targnął się na świętość narodową; Wincenty Pol nie miał już prawa do Pieśni, przez Janusza wyśpiewanej, do tego ślicznego tworu macierzystej poezji Polski.

Ukończywszy swoje oskarżenie, wypowiedziawszy je gorąco, z goryczą, z jadem gryzącym, przechodzi poeta w ton najszczerszego żalu i najczystszej miłości dla potępionego. „Z głębi swego sumienia powtarzam raz jeszcze: z miłością sądziłem!“ Ciężko mu jest oskarżać tego, którego zwie, „jednym ze swych mistrzów“, boli wywlekać wszystkie przewinienia uwielbianego niegdyś Janusza i ciskać tyle krwawych obelg w jednego z najszczerszych niegdyś narodowych pieśniarzy. Więc w ślad za oskarżeniem przywodzi wszystko, co może zmniejszyć wagę jego winy, a to: słabość, właściwą każdemu człowiekowi, możność upadku, gdy się jest kuszonym wszelkiemi ponętami świata bogatych; dawne zasługi poety względem ludu, bo „on pierwszy wyprowadził go z zapomnianej chaty przed oczy narodu“, mimowolne olśnięcie szlachtą, jej blaskiem, szczerością, przywiązaniem do kraju; nawet wina w oddaniu się Moskwie umniejszyć się da, gdy weźmie się pod uwagę łatwo zapalną, olbrzymią fantazję Pola, w patrjotyzm bowiem jego nikt nie ma prawa wątpić. W końcu swej obrony przebiega do środka, którym skutecznie posłużyć się może jedynie ciepłe, tkliwe uczucie kochającego: wnika głęboko w nastrój duchowy oskarżonego, podsłuchuje tętna smutnego jego serca, jęku jego zwątpiałej, osamotnionej duszy. I właściwym sobie zwrotem — od gromów piorunowych do łzy serdecznej — kończy słowami: „Wart przebaczenia — bo cierpi!“

Lecz jakby nie mogąc jeszcze tak prędko utulić żalu po tym sponiewieranym posągu wielkiego ducha, jakby chcąc ukołysać ból swój własny i złagodzić cios własną ręką mistrzowi zadany, przytacza na ostatnich kartkach listu rozbiór jednej z późniejszych pieśni poety, nazwawszy ją spowiedzią smutnego, grzesznego anioła.

W rzewnych, serdecznych słowach przekłada myśli Pola i stawia go przed oczy narodu skruszonym, cichym, a bezmiernie lud swój, ziemię i przeszłość jej kochającym. W imię tej spowiedzi, skrystalizowanej tak cudnie we własnych swoich słowach, przez wzgląd na wszystkie umniejszające winę okoliczności, podnosi głos w jego obronie, mówiąc: „kłonię się przed narodem i proszę dla oskarżonego o przebaczenie“.

Oskarżonemu zaś rzuca kilka szczerych słów porady, aby zawrócił drogą Januszową, szedł w góry i tam wśród czystszych sfer, wśród lepszych ludzi, w kręgu znanego sobie niegdyś świata ducha swego oczyścił i wskrzesił.

Trzeci ten list Ujejskiego, zawierający oskarżenie Pola, jest jednym z najpiękniejszych utworów naszej literatury. Krwią serdeczną i łzami jest pisany. Autor włożył weń wszystkie blaski swego ducha. Podniosłość myśli, siła, prawość, szczytność ideałów, obok wspaniałej formy, czynią go wielkiej wagi słowem pisanem — dla nas zaś, Polaków, słowem świętem, jednem z owych świateł przewodnich, rozjarzonych ręką mistrzów, na chmurnem niebie naszych dróg.

Wspomnienie wielkiego poety radabym zakończyć własnemi jego słowami, zwróconemi w tymże liście do autora „Pieśni Janusza“, a żywiej niż wszelkie rozprawy malującemi treść jego ducha. „Oby ci Bóg dopomógł, — mówi Ujejski — abyś mógł wkrótce powiedzieć: mogę na nowo kochać, jak kochałem za czasów mojej złotej młodości, kochać całą moją ojczystą ziemię, kochać cały jej naród, dzielący się jeszcze teraz na lud i szlachtę i na obce jego wpływy, różniące się od nas religją i rodem, a zlane w przyszłości w jedno wielkie, święte słowo: naród; kochać grzesznych i sprawiedliwych, kochać tych, co wierzą i wątpią, kochać wszystko i wszystkich i dawać im słowo natchnione, słowo wiary, miłości i nadziei, słowo, co jest jak ostróg, kiedy porusza,

jak bicz, kiedy karci, jak balsam, kiedy goi rany, jak dzieło, kiedy budzi alarm, jak bagnet, kiedy składane w ręce bezbronnych!"

W. Dalecka.



Sporne terytorja.

(Ciąg dalszy).

Inne krom językowych materjały p. Z. etniczne, zebrane, choć pospiesznie i dorywczo (o ile to się dało przy doraźnych kilkudniowych wycieczkach wśród przeszkód i utrudnień), ale bardzo sumiennie, nie wiele dodają światła do stwierdzenia faktu językowego, chyba tyle, że strój niewieści skaliczanek bardzo przypomina ubiór szlązaczek, (zwłaszcza kabatki bufiaste). Dlatego dla uwydatnienia analogji i różnic językowych, przytoczymy parę piosnek. Ale jeszcze wpierw słówko o dobrobycie. W drewnianej, często bez komina chacie, zawarta jedna izba jako mieszkanie ludzkie, a w niej „szerokie łóżko z barłogiem i bardzo lichą pościelą, kołyska, stół i ława, to całe umeblowanie". Po prawej stronie od wejścia do izby piec piekarski z nalepą, nad nią najczęściej na łańcuchu przymocowany wisi kocioł, w którym warzą wodę. Obok pieca kuchennego, na osobnej półce g a r c e, miski gliniane i r y n i k; obok w ł u ź n i k u drewniane łyżki, warzecha i r o g u l e, solniczka, u o c e d z a r k a (do ziemniaków), c e d z i k (sitko) do cedzenia mleka — zupełnie tak, jak w całych Tatrach, jeno gdzieindziej (np. na Podhalu, Spiżu) — wykwintnie to wszystko rzeźbione w motywa stare ornamentyki góralskiej. Tego w Skalickiem widocznie niema, bo by to zwróciło uwagę p. Z., który nic o tem nie wspomina.

„Pożywienie Skaliczan codzienne jest bardzo liche. Na śniadanie jadają kapustę ze ziemniakami z k i s ł e m (kwaśnem mlekiem); na obiad to samo i na wieczór również. To są potrawy wspólne wszystkim góralom. „Chleba nie pieką; znają tylko chleb kupny. W jesieni pieką ze ziemniaków placki na listkach kapusty. Kupiwszy w braku ziemniaków r e z u (żyta), mielą mąkę na domowym młynku, potem ją prażą, zalewają wrzącą wodą i z tej gęstej papki robią łyżką tzw. p o n c k i (prażuchę) które jedzą z mlekiem kwaśnem lub z masłem, jak r e z a ń c e, rodzaj grubego makaronu z kupnej, białej mąki. Mięso jedzą tylko wtedy, jeżeli zabiją barana lub b r a w c a (wieprza)", które wpierw posolone przez 2—4 tygodni — warzą na k a p u ś n i c y. Na święta i „o s t a t k i" wyszukańsze nieco pieczywo i legominy.

Przemysł domowy ogranicza się do wyrobu płótna i sukna, na potrzeby domowe. Typ fizyczny ludu nad Kisucą (w górę ku źródłom) ten sam co w Skalicy, ubiór również i chaty tak samo budowane (po góralsku, ze szczytem łamanym w stosunku 1 : 5 dolnego przełomu do górnego pionu), „ale bogatsze, z porządnemi stajniami i stodołami". Gleba urodzajna i zamożność większa, niż w Skalickiem, „ale równocześnie prawie co kilkadziesiąt kroków stojąca przy drodze karczma wskazuje, gdzie wieśniak topi swą zamożność, sprzedając wszystko i nabywając wszystko u tego samego handlarza", a więc pod tym względem stosunki te same, co na Spiżu i Orawie, nieco gorsze, niż na Podhalu, a zgoła nie podobne do ślązkich.

Oto parę próbek mowy rytmicznej: „W dzień św. Szczepana (26. grudnia) rano, młodsi chłopi i kawalerowie do swojej rodziny idą „w połazy" (p o d ł a z y na Podhalu. Przyp. J. G.). Niosą oni ze sobą trochę zboża i len, a wszedłszy do izby tak winszują:

Dá Bóg sęście na ten tu nowy rok,
Winsujem wám scęścia zdrowiá cały rok:
Na statecku rozchowaniá,
A i dzieciach ·pociesenia;
Hojności, plenności,
A i w s z e h o dości;
A po śmierci dalszego spaseniá
Grzéchów odpuscenia. Amen.

Jeszcze parę wierszy przygodnych:

O jawor, jawor zieleny,
Przeco si smutny w jesieni?
Jakož ja nimám smutnym być,
Kied se mnie spadnuł krasny liść.

Chodzita dziéwecka
Po wésokiem groniu,
Zbiérała kwiatecki
Ku świentemu Jánu.

A oto dla porównania słowacka:

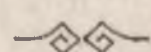
Už Turek ide, že wojna bude,
Milunka płacze, jak ona bude,
Samotna;
Nie płacz, ma miła, nie budesz sama
Stawaju klaszter miedzy horama
Prze teba.

(C. d. n.).



Pośmiertne wydanie.

—✱ Z MYŚLI ZAGASŁYCH. ✱—



(Dokończenie)

SZEREG CZWARTY.

Ostatnich kilka tygodni pogłębiły jeszcze wyraźniej, niż dotąd, przedział pomiędzy nami. Biedaczka Lila z bojaźliwą jakąś starannością zdaje się troszczyć o wygody moje i ciszę. Nie protestuje już całkiem przeciw nienormalnemu porządkowi mych dni i nocy. Nie zdaje się nic nawet spostrzegać i nie próbuje nawet przeszkadzać „szaleństwu memu“. Nic o tem nie mówimy. Jesteśmy dla siebie bardzo grzeczni i nawzajem troskliwi. Raz mi tylko powiedziała, na początku jeszcze urlopu:

— Zdaje mi się, kochany Edwardzie, że mało korzystasz ze swej swobody. Nie wypoczywałeś dotąd wcale — wydajesz mi się nawet jeszcze mizerniejszym, wyglądasz jak syryjski anachoreta lub młody prorok fanatyczny... Chętnie by cię takim malowali mistrze dawniejsi i dzisiejsi, — co do mnie wolałabym cię widzieć mniej idealnym.

Nie wiem, czy mi się wydało.. stanowczo twierdzić nie mogę, że na tych ustach jej, tak niegdyś figlarnych — dzisiaj tak smutnych, przemknął uśmiech pokrewny temu, jaki miał „dobry“ mój zwierzchnik, mówiąc o mej „obiecującej“ powierzchowności. Odpowiedziałem jej tylko ze źle ukrytą zapalczywością:

— Zapewniam cię, że są to ostatnie wysiłki moje, ostatnie objawy — mej manji... Daję ci słowo, że jeszcze dwa jakichś tygodni może popracuję nad tem, co mi się wydaje koniecznem, a potem długi spoczynek nastąpi.

Mimowoli wymawiam niektóre wyrazy z naciskiem i lekką ironją. Dostrzegła to, naturalnie, ale solenna moja obietnica oczarowała ją kompletnie. Zarumieniła się nawet z radości i położyła mi rękę na ramieniu ciepło, po przyjacielsku.

— A mój-że ty drogi! jak to prześlicznie będzie! Nic gorszego, jak te wykolejenia z naturalnej ścieżki! jak te ostateczności, wyczerpujące cię do reszty.

Tak więc... owo cielsko biurowe, „ma pauvre bête“, — i ona także uważa za „mnie“ samego... Ona „mnie“ całkiem nie dostrzega. Smutne to jest bez granic... Spojrzałem na nią z przestrachem prawie, bo w tej chwili głębia pomiędzy nami jeszcze się wyraźniej rozwarła i zaczerniała w mych oczach. Ona zaś odwrotnie, przekonana, iż rzecz się ma daleko lepiej — szepnęła z bladym cieniem zalotności w swych ładnych oczach:

— O jakżeś dziwnie spojrzał na mnie — ty... ty mój zawsze piękny... obrazie!

Poczekaj... niezadługo już może w „obrazie“ tym dojrzysz i „piękną duszę“ sławnego człowieka! Ale wtenczas naprawdę zostaną ci tylko obrazy.. obrazy... obrazy — i nic więcej.

SZEREG PIĄTY.

A więc termin już nadszedł. Skończyłem ostatnią rzecz moją — ostatnią, którą żal by mi było pogrzebać wraz z sobą, którąby, zda się, jeszcze się wiła nawet po śmierci mojej w mej głowie... Zebrane i ułożone w porządku dawniejsze fragmenta i świeże rękopisy. Przygotowałem już instrukcje i komentarze — i nawet list do głośnego redaktora i wydawcy zarazem, polecający wydanie pośmiertne — list krótki, lakoniczny. Mam nadzieję, że dla śmierci mej będzie uprzejmy — i grzecznie ją zechce wysłuchać. Spuścizna ta powinna dać dość blizkie pojęcie o mnie — dość blizkie o tem, czembym być mógł w kompletnym rozwoju talentu. W szczęśliwą drogę.. po mym trupie.

Więcej już tak pracować bym nie mógł, bo smutek i znużenie coraz potężniej władną duszą — i żal nad sobą, kiedy poznałem siebie w tych... dniach ostatnich — rozrzewnia mię i zmaga. Możebym jeszcze mógł cofnąć ten wyrok śmierci, którym surowo podpisał na siebie?... Kto wie? może zabijam.. dary najdroższe, które nie każdy posiada?... Jestem być może.. wybrańcem... Straszno puszczać wodze wygórowanym ambicjom i fantazji. Och, trzeba spocząć!... spocząć po tem wszystkiem. Wszakże spoczynek taki — cisza — jest.. wielkiem szczęściem.

Kilka dni dziecinnego żalu, jeden może rozdzierający krzyk kobiecy, jeden rzęsisty grad łez. Potem cicho i... dobrze. Doprawdy, że i jej lepiej będzie, gdy przyjmie posadę na koleji, którą tyle razy wziąść chciała, gdy brat jej ofiarował.. W domu... przy... małym... będzie jej matka, mocna, energiczna kobieta, kochająca... wnuczka nad życie.. Przytem.. jeżeli.. wydanie się powiedzie — uzyska dla... niego... z czasem — stypendjum z kasy literatów. O... wszystko dobrze będzie... Tylko trzeba prędzej, prędzej z tem skończyć... bo wszelkie wysiłki pójść mogą na marne! Do... ostatniej roboty.

SZEREG SZÓSTY.

Wielu ludzi... tak wielu, że mi się tłumem wydają w tej dużej sali... Ludzie cisi, poważni — jak jeden człowiek rozmodlony w dużym kościele. Brakuje tylko wysokich świec żółtych i palm i kwiatów.. Cisza we mnie i spokój — odczuta nirwana... odczuta nirwana — absurd!

Otwieram raz jeszcze oczy i znowu przymykam. Lekki wykrzyknik słyszę, cichy szept. Nie chcę nic wiedzieć, czuć, rozumieć.. Chcę

być bezwładnym ciałem i duszą... spokojnym. Ciche słowa wciskają się do ucha... słyszę – budzę się znowu.

— Niema obawy... nie może być przytomnym. A — tak, wielka szkoda istotnie. Tyle dni agonji! Zapóźno spostrzeżono. Niepodobieństwo, niepodobieństwo. I tak dziwić się należy — nadzwyczaj długa zwłoka.

Cisza znów. Chcę patrzeć. Widzę znowu te twarze — same męzkie... najwięcej młodych?... Nie chciałbym nic rozumieć, ani wiedzieć... ale zaczynam domyślać się i... kombinować.

Dziwię się. Spojrzenie moje pada na kogoś, stojącego wprost przedemną wysoko, jakby na podniesieniu. Obok niego widzę jakiś przedmiot czworokątny, także wysoko. Człowiek ten trzyma coś w ręku... podnosi rękę i spuszcza co chwila.. Oczy jego, znane mi zkądeś oczy, kierują się wyraźnie ku mnie i znów padają na przedmiot czworokątny... A! sztaluga — pędzel — paleta.. A!... znakomity portrecista!.. Stoi wysoko — aby twarz moją całą mieć przed sobą... On mię maluje!

Ja... zatem także... wysoko już stać muszę... ja... ja zatem iść mam... jeszcze wyżej. Nie! och nie! — ja tego nie chcę! Gdzież są oni, gdzie oni, gdzież oni?!...

Oczy moje szeroko otwarte płoszą malarza. Zstąpił ostrożnie — i znikł w tłumie. Tylko przyrządy jego zostały w oczekiwaniu... „sposobniejszej chwili“

Napróżno próbuję się zapomnieć — nie mogę już, nie mogę... Ile też czasu trwało to nieświadome, nieodczuwane istnienie — bo przecież j e s z c z e istnieję. Jeszcze! Czemu, gdy zamknę nawet oczy, majaczą ciągle przedemną te pełne czci twarze, to ich skupienie... oczekiwanie... Czemu ten znakomity malarz do reszty mnie oprzytomnił?... Ja nie chcę już... aureoli.

Kiedy przez dłuższą chwilę trzymam oczy otwarte, pochyla się nademną druga twarz, skądeś mi znana — twarz mądra i spokojna. To... to inna znakomitość — gwiazda lekarska. Mówi łagodnym półgłosem:

— Jakże się miewasz, panie kochany? Nic mu nie odpowiadam. Choć wobec nich przynajmniej uchodzić chcę za nieczującego. Przymykam oczy, jak gdybym nic nie słyszał. Utwierdza go to zapewne w przekonaniu, że nie mam żadnego poczucia świadomości.

A ich niema... niema? Może oni... nie wiedzą? Nie trzeba o nich myśleć... boli... nie chcę bólu!... Patrzeć i słuchać...

Z kim mówi wielki chirurg? Uformowała się przy nim i tym kimś innym grupa tych młodych ludzi w białych fartuchach... tak, to studenci-medycy. Nareszcie widzę tego pana... Co to jest?... Czy być może?!... Ależ tak, niezawodnie. Jest to redaktor dumnego, a niedostępnego „Przeglądu“. Zapewne tylko co nadszedł... przypatruje mi się z ogromną, dziwną ciekawością i jakiemś niby wielkiem zmieszaniem... Gdy wreszcie spotyka oczy moje, wpatrzone uparcie w twarz swoją — miesza się jeszcze wyraźniej.. Robi jakiś ruch dziwny i nieokreślony... czy to współczucie czy... niezadowolenie?... jakiś rodzaj ukłonu — i odstępuje w głąb grupy. Słuszę tylko odpowiedź chirurga na ciche jego pytanie:

— Tak się tylko wydaje — jest nieprzytomny.

A ich jeszcze niema?

To znaczyć ma... że gwiazda przyciąga gwiazdy... Znakomitość... znakomitości. Lecz ja... ja jestem tylko urzędnikiem z biura, potentaci! żenujecie mię... uznaniem.. hołdami swemi... ja nie chcę być znakomitym! ja nie chcę.. tak świetnie... umierać!...

Długo zapewne tu leżę... jeśli oni zdążyli przeczytać już - czy przejrzeć... jeśli mię ocenili, jak tego chciałem. Ale teraz już nie chcę, nie chcę tych splendorów. O gdybym mógł — cofnąłbym wszystko!... Lecz w mojej mocy jest teraz — umrzeć tylko.

Co to być może — ten gmach, ta młodzież? Musi to być zapewne klinika, do której mnie przeniesiono z wagonu... Pamiętam.. pamiętam, jak wystrzeliłem raz – niby w skroń — źle! drugi raz niby w serce — widocznie także źle. Djabelnie drżała ręka... bohatera.

A ich wciąż jeszcze niema i niema?

Powiodło mi się. Jestem u kresu mych marzeń. Mogę to jeszcze powiedzieć w czasie teraźniejszym, tutaj, na ziemi. Powinienem być szczęśliwy i dumny. Pozwolono mi jeszcze, człowiekiem będąc, skosztować najwyższego w pojęciu mem szczęścia, za które życie oddałem. Ale gdzież jest to szczęście, czemu stopniało ono w żalu, w rzewności melancholijnej?!... Słabo mi bardzo, słabo... Czy być może, żebym tak bez nich. odszedł?...

Coraz mi słabiej, ciszej, spokojniej tu w sercu... jakby sennie. Słyszę odgłosy kroków — to przesuwają się zapewne ci młodzi... Pójdą oni wkrótce obstalować wieniec z napisem: „młodemu, nieodżałowanemu itd.“, a potem pełnić będą straż honorową przy trumnie. Ich zwykle w razach podobnych ceremonja ta tak... interesuje, bawi. Wszystko mi jedno. Tak cicho, w sercu. Widocznie nawet twarz moja wygładza się już i uspakaja, bo otóż chirurg podchodzi i delikatnie za puls mię bierze. Ktoś inny zbliża się jeszcze ostrożniej, na palcach — i pyta o coś cicho. Profesor odpowiada widocznie gestem, którego nie dostrzegam. Potem się nieco oddala i mówi do kogoś tym samym cichym a wyraźnym głosem, który słyszałem już kilkakrotnie:

— Panie, czy i pan podzielasz opinję dzienników, że miał to być talent wspaniały

i wyjątkowy? że jest to strata — nieodżałowana?

Otwieram oczy obojętnie już i spokojnie i czekam wraz z chirurgiem odpowiedzi redaktora:

— Bezwarunkowo, profesorze. Pyszne zostawił rzeczy! — mówi nerwowym i szybkim szeptem wielkość dziennikarska. — Ostatnie zaledwie już tylko naszkicowane, znać pośpiech szalony, znać na nich... blizką tragedję. Ależ to szkice mistrza! dla wybrańców, co na nich poznać się mogą. Pierwsze przecudnie nawet wykończone. Drukarnia i korekta pracują nad niemi nieustannie. Furorę zrobi to wydanie. Dla społeczeństwa kolosalna szkoda!... Biedak nie umiał radzić sobie w życiu. Dziwnie gołębia natura! prawdziwie z bożej łaski. Od czasu do czasu dawał prześliczne drobnostki. Zdawało się, że na nic poważniejszego się nie zdobędzie, a tu...

Zamilkli, jakaś przeszkoda... To ciche jakieś kroki, lżejsze i powolniejsze — niż wszystkie inne... i jeszcze jakieś kroki częstsze, głośniejsze, drobne, drobniuchne...

Och nie... nie! Jeżeli się poruszę — czuję, że już odejdę. Tymczasem duszność w gardle czuję, — i oczu... oczu nie mogę już otworzyć... Ręka moja, ręka! coś czuję na niej miękkiego, świeżego i gorącego... to usta, cisnące się do niej z drżeniem, ostrożnie, z namiętną, korną czułością!...

Otwieram oczy pełne łez szeroko i patrzę w oczy także.. łez pełne, łez pełne..

— Najdroższy, ubóstwiany mój!!...

— Ojczulku!..

— Życia, życia!... och ży!...

* * *

Nie braknie wysokich świec żółtych, i palm wysokich zielonych. Czuć wonie masy kwiatów.

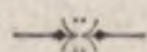
Janina Baudouin de Courtenay.



SOCJOLOGJA.*)

I.

Historja i metoda socjologji.



Zadanie naukowym badaniom społeczeństwa ludzkiego i praw jego rozwoju miana „socjologji“ oraz ugruntowanie tej ostatniej, jako odrębnej gałęzi wiedzy jest zasługą Augusta Comte'a. Ale roztrząsanie zagadnień społecznych, chociaż niekiedy w ramach innych nauk, rozpoczęło się znacznie wcześniej. Zwłaszcza Grecy zajmowali się temi kwestjami na skalę tak szeroką, że rezultaty i metoda tej greckiej filozofji społecznej nie straciły jeszcze dziś swego wpływu na naszą najnowszej daty naukę socjalną. „Polityka“ miała wprawdzie być u Greków częścią filozofji praktycznej, w pierwszym zaś rzędzie szkołą mądrości państwowej, zajmowała się ona jednak i kwestjami zasadniczemi, dotyczącemi społeczeństwa.

Sofiści, jak wiadomo, rozróżniali dwa rodzaje istności: naturalne i sztuczne czyli istności moralne, a klasyfikacja ta, przeniesiona na pole polityki prowadzi wprost do kwestji o naturze społeczeństwa. Sofiści bronili zawsze poglądu na państwo, jako istność przyrodzoną. W „Gorgiasie“ Kallikles mniema, że większość ustaw pochodzi w samej rzeczy z woli ludzkiej i umowy, są jednakże i prawa inne, naturalne, chociaż sobie z ich istnienia nie zdajemy sprawy. Są one wytworem siły społecznej, potęgi interesów i namiętności. Do tych praw naturalnych muszą się stosować i ustawy pierwszego rodzaju itd. Ale sofiści nietylko uważali społeczeństwo za twór natury, zdawali się oni nawet przeczuwać (p. Arystofanesa „Obłoki“), jeżeli nie związek naturalny, to przynajmniej analogję między społeczeństwem ludzkiem a zwierzęcem. Plato, jak wszyscy zresztą Sokratycy, stać się zdaje po stronie tych, ktorzy uważają państwo za twór natury. Przy bliższem jednak rozpatrzeniu realizm jego w tej kwestji tak samo, jak i na innych polach, jest tylko pozornym. Za podstawową siłę wszelkich zjawisk społecznych uznaje Plato owe nieświadomie działające u wszystkich ludów prądy, skłonności i zwyczaje, zależne od klimatu, pożywienia i innych przyrodzonych warunków. Filozof ten, dalej, z godną podziwu bystrością zdefiniował prawo podziału pracy, nie było mu również obce znaczenie, jakie ma dla społeczeństwa „walka o byt“ i „dobór sztuczny“, zapatrywał się on wreszcie na społeczeństwo, jako na indywidualność wyższego rzędu, która powstaje, rozwija się i upada, jak człowiek lub zwierzę, jak oni narażoną bywa na choroby, wynikające z zaburzenia w funkcjach. Nigdzie jednak Plato dla nauki o państwie nie wyprowadził ścisłych wniosków z tych założeń. Aczkolwiek bowiem widzi on w państwie twór natury, to jednak równocześnie wydaje mu się ono raczej ucieleśnieniem odwiecznej idei prawa i cnoty... Społeczeństwo, właśnie dlatego, że jest tworem natury (w Platońskiem znaczeniu tego terminu), ma misję etyczną. Dla Platona społeczeństwo jest doskonałe nie wówczas, gdy na wzór zwierzęcia jest zdrowe i płodne, ale gdy swych członków

*) Według artykułu E. V. Zenker'a w Handwörterbuch d. Staatswissenschaften. Zweiter Supplementband 1897.

jego dążeniami unosi się idea dobra i sprawiedliwości. Państwo jest zatem dla Platona nie samoistnym organizmem — jak się to zdawało z początku — ale maszyną, poruszaną zewnętrzną siłą — ideą. Główna zresztą kwestja, która Platona interesuje, polega nie na tem, czem państwo jest, a czem ono być powinno. W idealnym obrazie społeczeństwa ludzkiego, który roztoczył Plato, wszystko odbywa się jak w zegarku, nic nie porusza się siłą własnych, naturalnych impulsów, a przeciwnie: pożywienie, odzież, zabawa i stosunki płci — wszystko to do najdrobniejszych szczegółów jest uregulowane mądremi ustawami, których wykonywania przestrzega boski kierownik państwa.

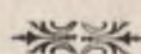
Arystoteles przyjął realistyczną część Platońskiej nauki o społeczeństwie i wykształcił ją dalej, ale stanowczo zerwał z idealizmem i teologją swego poprzednika i nawet stanowczo kierunki te zwalczał. Celem polityki (jako nauki) jest dla Arystotelesa wiedza nie o tem, czem państwo być powinno, ale czem ono jest, jak doszło do stanu obecnego. Dla Arystotelesa państwo jest istotą żyjącą, podległą tym samym organicznym prawom i zmianom, co wszystkie inne twory żyjące. Dlatego też musi badanie natury państwa trzymać się tej samej metody, co wszelkie inne nauki. Arystoteles sam usiłował odnaleźć genezę społeczeństwa w połączeniu mężczyzny z kobietą i powstałej stąd rodzinie. Rodziny zaś zespoliły się następnie w gminy wiejskie i większe ciała społeczne. Powstanie swe zawdzięcza społeczeństwo konieczności i potrzebie, a nie jakimkolwiek moralnym pobudkom, ale posiadając zdolność rozwoju w stopniu znacznie wyższym, niż społeczeństwa zwierzęce, może ono, prócz zaspokojenia potrzeb natury materjalnej, brać na się i spełniać zadania moralne. To też, wedle Arystotelesa, państwo jest doskonałem wówczas dopiero, gdy staje się organizmem moralnym, ale taka ewolucja musi być samorodna, nie zaś narzucona z zewnątrz.

Dokoła tego przeciwieństwa, zachodzącego między Platonem i Arystotelesem i dającego się w najprostszy sposób sprowadzić do owego rozróżnienia dwóch rodzajów istności, sformułowanego jeszcze przez sofistów, obracają się aż do dziś wszystkie socjalno-filozoficzne spory.

(C. d. n.)



☆ Nowe książki. ☆



Z. Gargas. Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII w. Lwów 1897.

Powyższa praca jest dalszym ciągiem studjów autora nad historją ekonomiki w Polsce, rozpoczętych artykułem w lwowskim „Przewodniku naukowym i literackim“ p. t. Marek Smiglecki i jego traktat o lichwie.

Po króciutkim wykładzie poglądów ekonomicznych w XVII. w. zagranicą (merkantylizmu i kierunku kanonistycznego), po wyliczeniu dzieł, które należy uwzględnić w historji poglądów ekonomicznych w Polsce XVII. w., nie omawia autor każdego pisarza z osobna, ale na Schmolerowski sposób bierze po kolei pojedyńcze objawy życia ekonomicznego i przy każdym przedstawia zapatrywania odnośnych autorów.

Dowiadujemy się zatem, jakie były poglądy na stosunek jednostki gospodarującej do państwa i na zawody gospodarcze; jak: handel, przemysł, rolnictwo, na kwestję poddańczą; jak zapatrywano się na cenę, kwestję drożyzny, pieniądze, kredyt; na sprawy mennicze, konsumcję, zbytek. Z kolei następuje wykład owoczesnych poglądów w dziedzinie polityki ekonomicznej, co do opieki nad handlem i przemysłem, planów kolonizacyjnych na kresach Rzeczypospolitej, wreszcie projektu kanału pińsko-muchawieckiego. Pracę swą kończy autor wyłuszczeniem zapatrywań ekonomiki XVII. w. na sprawy skarbowe.

Rozprawka p. G. jest tedy zwodem mniej więcej dokładnym zapatrywań różnych autorów XVII. w. (nie wszystkich!) na rozmaite sprawy ekonomiczne. Luki w badaniach historycznych nad ekonomiką społeczną w Polsce autor nawet w części nie zapełnił, chociaż, jak ze wstępu widać, gotów jest pracy swej takie znaczenie przypisać. Bo też na historję ekonomiki może jest nieco zawcześnie. Taka historja osnutą być musi na tle dziejów naszych stosunków ekonomiczno-społecznych, czego historji naszej brak dotychczas.



Wiadomości bibljograficzne.

Harwot Jerzy Prof. Nasze szkolnictwo ludowe napisał... Str. 29. Kraków, 1898.

Łomnicki Jarosław L. M. O pochodzeniu skrzydeł owadów napisał... Str. 16. Lwów, 1898.

Nusbaumowa R. Jędrzej Śniadecki i Herbert Spencer, jako pedagogowie. Napisała... (Odbitka z jubileuszowego zeszytu „Kosmosu“). Lwów 1897. Str. 38.

„*Wojna polsko-ruska* 1831 r.“. Opracował A. K. Puzyrewski, generał-lejtnant sztabu głównego. Dzieło premjowane przez Cesarską Akademję nauk. Wydanie przerobione, poprawione i uzupełnione. Z 6-ciu planami bitew ważniejszych. Zeszyt 5. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbranda. 1898.

Z drukarni Z. Golloba.